

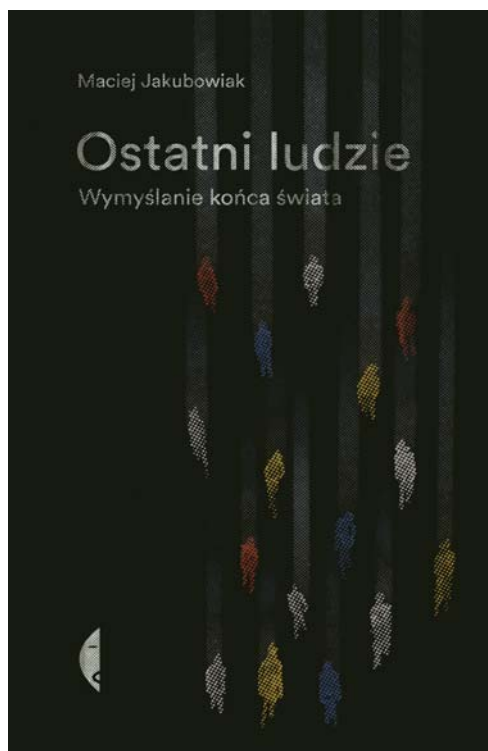
Kwiecień

DOROTA KOŁODZIEJ

Niekończąca się opowieść, w której mieszają się fikcja i fakty

Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata Macieja Jakubowiaka to książka niepoważna, wszak „poważni ludzie nie zajmują się końcem świata” (s. 26). Nie można przecież zajmować się czymś, czego nie ma. Albo jest koniec, w sposób najbardziej ostateczny zamykający wszelkie możliwości zajmowania się czymkolwiek, albo jeszcze go nie ma. Na razie jednak to dopiero początek tekstu. Dla chronologicznego porządku przypomnijmy więc, że „po raz pierwszy świat skończył się w 515 roku przed naszą erą. Miało to wypaść rok wcześniej, ale przy sprawach takiej wagi trzeba wybaczyć mały poślizg” (s. 12). Na wstępie wytłumaczyć należy również, że Jakubowiak nie tyle jednak analizuje koniec, ile fantazje na jego temat, zmyślane słowa i obrazy, za pomocą których ludzkość przedstawia sobie kres. Z jednej strony mamy więc ostateczną powagę prawdziwie apokaliptycznej perspektywy, z drugiej przestrzeń na wymyślanie, opowiadanie, wyobrażanie, kłamanie. Książka Jakubowiaka jest wynikiem ciągłych zderzeń tych dwóch perspektyw: niepoważna, dowcipna, ironiczna, a zarazem poważna i skrupulatna.

Jak więc przystało na poważną i skrupulatną rozprawę filologiczną, Jakubowiak na początku analizuje etymologię wyrazów



Maciej Jakubowiak, *Ostatni ludzie. Wymyślanie końca świata*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

znajdujących się w centrum jego zainteresowań badawczych: „apokalipsa”, „eschatologia” i „katastrofa”. I to wszystko po to, aby po kilku stronach, na których tłumaczy wynikające z historii języka różnice znaczeniowe, stwierdzić, że ich znaczenie w zbiorowej świadomości jest zupełnie synonimiczne, że jeden termin swobodnie wymienia się na drugi: „Apokaliptyczna eschatologia katastrofy. Eschatologiczna katastrofa apokalipsy. Katastrofalna eschatologia apokalipsy. Można tak w nieskończoność” (s. 17). Podobny mechanizm powtarza się w książce wielokrotnie. Jakubowiak najpierw analizuje wnikliwie problem, a następnie ironicznie dystansuje się od wszelkich ostatecznych konkluzji. I tak w nieskończoność. To znaczy od początku do końca książki. Najpierw analizuje informacje o kryzysie klimatycznym, broni termonuklearnej, wojnach informacyjnych, podaje faktyczny stan „zegara zagłady” i stwierdza, że „tak blisko jeszcze nie było” (s. 33), aby na tej samej stronie uznać, że koniec świata „wciąż potrafi fascynować i przerażać, choć nie na tyle, żebyśmy mieli się poważnie przestraszyć” (s. 33). Z reporterską precyzją przywołuje dane o pandemii, prepersach, kapitalizmie, kryzysie demokracji, by skomentować, że „to właściwie zabawne” (s. 69). Przecież nie ma co przejmować się tym całym końcem świata, skoro „apokalipsa należy do sfery fantazji tak jak jednorożce, wilkołaki, wampiry i potwór z Loch Ness” (s. 26). To tylko takie opowiadki... Część przemysłu rozrywkowego (gotowe zabawić nas wszystkich na śmierć).

Paradoksalnie jednak to właśnie przyjęcie postawy pewnego ironicznego dystansu pozwala Jakubowiakowi przyrzeć się analizowanemu tekstem z rzeczywistą uwagą. Powieści, wiersze, artykuły, memy, filmy, seriale i wspomnienia nie są dla badacza jedynie pretekstem

do napisania czegoś ważnego o rzeczywistości ani środkiem do wywarcia społecznego wpływu. W książce wyrażone zostało przeświadczenie, że „[k]oniec świata jako narzędzie mobilizacji się skończył” (s. 61). Badacz nie tylko nie traktuje tekstów jako sposobu na wywołanie społecznej reakcji, nie tylko dostrzega, że ich perswazyjna moc nie jest wystarczająca, ale zauważa także, że jeśli już wywierają wpływ, to jest on przeciwny, bo „tak bardzo przywykliśmy traktować katastroficzne scenariusze jako bezpieczną fikcję, że kiedy oglądamy podobny scenariusz w rzeczywistości, z przyzwyczajenia uznajemy go za niepoważny” (s. 68).

Ostatni ludzie nie wzywają nas do działania także dlatego, że te wszystkie opowieści o nadchodzącej katastrofie są przecież jedynie symptomami, że dawno już się rozpoczęła, jak powtarza Jakubowiak za Christopherem Nolanem, Michelelem Houellebecqiem, Timothyem Mortonem i Agatą Bielik-Robson. Być może więc całe to wymyślanie i wyobrażanie, z jakim mamy do czynienia w omawianej książce, to jedynie wynik „instynktu, który towarzyszy ludzkości, odkąd postawiła pierwsze znaki: że jeśli da się coś napisać, to jeszcze nie wszystko stracone” (s. 188). Bo jeśli na sto osiemdziesiątej stronie można zatrzymać proces lektury, gdy długa parenteza odwleka spotkanie z ostatecznie kończącą zdanie kropką, to można uwierzyć, że tekst zdolny jest do opóźnienia końca. Przynajmniej na moment.

Ironiczny dystans do końca świata umożliwia zatem autorowi potraktowanie z najwyższą powagą samego wymyślenia i cierpliwe czytanie się w teksty. Jakubowiak tworzy krótkie i błyskotliwe interpretacje. *Ostatni ludzie* to książka błyskotliwego fragmentu (szczególnie jasno świeci tu podrozdział *Huśtawka*) i celnego aforyzmu („tak pewnie dałoby się zdefiniować wojnę: to stan, kiedy życie państwowe

nie pozostawia żadnego marginesu” [s. 148]), a także tekst niezmiernie samoświadomy, pełen refleksji o samej czynności pisania i opowiadania. Oczywiście może to wywoływać pretensjonalne wrażenie i „niewykluczone, że to wszystko dla dobrej puenty. Apokalipsa to po prostu taka opowieść, która porządkuje inne opowieści” (s. 18), jednak dzięki skupieniu uwagi czytelnika na wymyślaniu i wypisywaniu katastroficznych historii udaje się Jakubowiakowi znaleźć nieoczywisty porządek w analizowanych opowieściach o końcu świata. Zamiast konsekwencji chronologicznej, tematycznej czy metodologicznej dostajemy wciągającą powieść o innych opowieściach. Niektóre z nich autor krótko komentuje, wydaje się jednak, że najważniejsze jest już to, że ustawia je razem i oddaje głos często zupełnie odmiennym tekstom. I tak „tytuły niektórych książek wchodzą ze sobą w utajony dialog” (s. 136). W morzu odniesień i aluzji Witold Gombrowicz „gada” z Billem Gatesem, Jacques Derrida dialoguje z Jackiem Dukajem i Doomerem, Dorota Masłowska miesza się z Mortonem i Pawłem Mościckim, „Limbo” z Larsem von Trierem, Donald Trump z Olgą Tokarczuk, Marek Bieńczyk z Rolandem Barthesem i Samuelem Beckettem. I oczywiście „jest tego więcej (s. 53)” – cała encyklopedia apokaliptycznych tekstów z gotową opowieścią na każdą literę, nie będą jednak psuć zabawy w odkrywanie kolejnych. Dopowiem jeszcze tylko, że ze względu na ostatnie wydarzenia szczególnie warto zwrócić uwagę na analizę powieści *Internat* Serhija Żadana.

Ta z pozoru niespójna układanka prezentuje się podczas lektury całkiem spójnie. Wszystko od początku do końca, od słowa do słowa przebiega zgodnie z planem. Czy jednak rzeczywiście do końca? Koniec to przecież „najtrudniejsze wyzwanie każdej powieści o końcu

świata, która przecież nie może tak całkiem być o końcu świata, bo wtedy nie byłoby w ogóle żadnej opowieści, tylko koniec” (s. 259).

Książka o końcu świata bez końca świata? Opowieść o końcu nie tylko sama się nie kończy, ale w ogóle odwleka ostateczną perspektywę, którą kreuje. „Nie można wygrać, można tylko odwlekać klęskę” (s. 30), zagadywać ostateczną perspektywę. Niczym Szeherazada snuć wciąż kolejne powieści, bo póki opowiadamy, żyjemy. Zamiast końca są słowa, słowa, słowa...

„Gotowe słowa już tam są, wystarczy po nie sięgnąć. Wiele słów” (s. 274). Ostatecznie są tylko one: „niepoważne” opowieści o końcu świata. O końcach świata. O wszystkich końcach świata. „Każdemu jego koniec świata” (s. 53). O końcach bliskich i dalekich, małych i wielkich. O końcach, które były, są i które jeszcze nadejdą. Czytać można więc wciąż od początku. Choć „już tu byliśmy, wciąż tu jesteśmy” (s. 69).

Być może omówienie książki powinno skończyć się na poprzednim akapicie. Jednak tekst ten, jak na opowieść o końcu przystało, nie może się skończyć. Na koniec więc dopowiedzmy, że ostatni rozdział książki o żałobie po śmierci matki każe podać w wątpliwość zbawienne możliwości gotowych fantazji i słów o końcu. W końcu i one nie wystarczają. Dlatego należy być może ograniczyć się do stwierdzenia, że książka Jakubowiaka zaczyna się od (nieprawdziwych) meteorytów, kończy śmiercią matki, a „wszystko, co pomiędzy, nie ma większego znaczenia” (s. 19) – i koniec.

Albo jeszcze nie. Bo książka Jakubowiaka nas pochłania i pożera, karmi wieloma wizjami końca świata uspojnionymi za pomocą doświadczeń i pisarskiego talentu autora w jedną (świetną!) opowieść. Tekstowy patchwork jest tak dobrze skomponowany, że nie dostrzegają

my żadnych szwów. Fabuła filmu *Bez ostrzeżenia* miesza się w nim ze wspomnieniami z dzieciństwa w narracji pierwszoosobowej, opisy pandemicznej codzienności z rozgrywką w „Plague Inc.” Wszystko ze wszystkim gra. Jest jednak coś niepokojącego w książce, w której „fikcja (...) udaje, że nie jest fikcją, ale nieustannie przypomina, że jest fikcją, choć

nie wiadomo, czy samo ostrzeżenie jest fikcyjne, czy już nie. (Tak będzie we wszystkich historiach o końcu świata: nigdy nie można być pewnym, czy to jeszcze zmyślenie, czy już rzeczywistość, fikcja i fakty mieszają się tu bezczelnie)” (s. 11).

„artPAPIER” 2022, nr 11 (443).